

Kamienny pokój był niepokojąco cichy. Często gdy człowiek był sam, to towarzyszyły mu różne dźwięki - świerszcze, od wiatru trzeszczące deski czy jęcznie pijaczyny pod gospodą. Krasnoludscy rzemieślnicy zapewniali go, że tak właśnie powinno być w takich typu obiektach, nic tak idealnie nie łamało więźnia jak odcięcie go od świata, zostawienie go z swoimi myślami. Przebywając krótko w tym pomieszczeniu mógł się z nimi zgodzić, brakowało tu też ciepłego słońca przynoszącego nadzieje czy widoku lasu zza krat, do którego można byłoby dać dyla. Jedynie zimna posadzka i wilgotne powietrze.

Ciężkie drzwi celi uchylły się lekko, rudowłosa elfka zdawała się czuć jak w domu, wreszcie bez konieczności noszenia kaptura, który skrywał jej oczy przed światłem słonecznym, niemiłosiernie oślepiającym większość przedstawicieli podziemnych.

— Gotowa? — Zapytał łowca.

Ostatnimi jego czasy jego życie wywraca się do góry nogami. Reforma, Sadzi, Ferber, Chronos, Agade, jednak nie mógł mieć pretensji do nikogo poza sobą. Sam się w to wpakował. Sam się wpakował w posyłanie ludzi na śmierć, ludzi których nie mógł ochronić.

— Tak, mam materiały ze sobą. Przygotowałeś wspomnienie, które mam ukryć? —

Nie do końca wiedział, jak cały proces miał wyglądać. Owszem, wiele razy miał okazję współpracować z magami, zapoznać się z ich zaklęciami czy samemu uczestniczyć w procesie tworzenia niektórych inkantacji, gdzie jego ekspertyza była potrzebna.. Jednak nigdy nie musiał niczego ukrywać... No... Przynajmniej nie w swojej głowie.

Pokiwał głową, dając znak, że może zaczynać.

— Skup się na na jednym, konkretnym wspomnieniu. Resztę zostaw mi. — Poleciała.

Obyło się bez zbędnych pytań, nikt nie wnikał po co i dlaczego, w końcu każdy miał swoje sekrety. Gdy rozpoczęła inkantację, to z każdym jej słowem zdawał się odpływać coraz dalej.. Coś jak przy utracie dużej ilości krwi, tylko bez ogarniającego ciała bólu i twarzy chcącej się spotkać z podłożem.

Tylko dlaczego nie mógł się skupić?

I

Okoliczne wzgórze stanowiło idealny punkt obserwacyjny, a dzięki urzędzeniu w postaci lunety daleki dystans był najmniejszą trudnością, z jaką musiał się zmierzyć podczas oglądania ruin dawnej stolicy - Birki. Przychodził tu co roku, wspominać, uczcić zmarłych.. Myśl, że już żadna z dusz nie błąka się po okolicach w poszukiwaniu zemsty, wykorzystywana przez byt z Pustki, napawa go niejakim spokojem. Jednak gorycz tragedii pozostawała taka samo silna, mimo upływu tylu lat.

— A ponoć my starzy rozpamiętujemy przeszłość — Odezwał się starczy głos zza jego pleców. Ojciec poruszał się co prawda już o lasce, jednak nie odpuszczał żadnej okazji do wyrwania się z wioski, szczególnie jeśli mógł zrobić to z synem, który spędzał większość swojego czasu na podróżach, ekspedycjach, szkoleniach albo innych misjach, które znajdowały się poza Liryzją.

— Gdyby nie ta wojna.. Gdybyśmy się nie wtrącali, nie byli częścią Wergundii.. To zamiast olbrzymiego krateru mielibyśmy miasto tętniące życiem, a wielu naszych przyjaciół by żyło.. Psiakrew, ludzie nie żyli by w ciągłym strachu przez wiele lat. —

— Żyjesz historią, której nie pamiętasz.. Qa decydując się na desant i tak wybraliby to miejsce.. Wolałbyś dobrowolnie, bez oporu wpuścić kilkanaście tysięcy nieznanymi dzikusów z drugiego końca świata, aby przemaszerowali sobie przez nasze ziemie? Licząc, że łaskawie będą grzeczni, a reszta kontynentu pokiwa głową ze zrozumieniem o naszej "neutralności"? Nie było innego wyboru, nikt też nie mógł przewidzieć co się stanie.. Nawet ci, którzy podkładali ładunek, nie wiedzieli, że tak to się skończy. —

Nastąpiła wymowna cisza, gardło zacisnęło się niczym sznur, jakby odmawiało przyznania się do błędu w swoim rozumowaniu. Tragedia, którą żył, wsiąkła głęboko w jego umysł, na własne oczy widział duchy martwych mieszkańców, snujące się cienie przychodzące wraz z mgłą... Sam doznał wizji, całego bólu jaki im towarzyszył, gdy spektra go dorwała. Był niewyobrażalny, niewybaczalny..

— Zawsze jest jakiś wybór.. — Rzucił niemalże bez przekonania. Ponownie zza jego pleców wydobyło się ciężkie westchnienie zrezygnowanego rodziciela.

— Nawet jeśli już chcesz obwiniać Wergundię, na równi z Qa. To spójrz — Powiedział, delikatnie przesuwając mu lunetę przez którą spoglądał na okoliczne wioski. Widział zapalone światła, chodzące małe kropki, a gdzieś w oddali majaczył zbrojny oddział.

— Wcześniej te miejsca były martwe, teraz tętni w nich życie.. Mieszkańcy mają zapewnione bezpieczeństwo, po traktach nie pałętają się całe zgraje bandytów, wszyscy odzyskujemy nadzieję na lepszą przyszłość. Cokolwiek byś o Wergundach nie uważał, pomagają nam, naprawiają to co zostało zniszczone.. Wybaczyłeś Patilnowi, twórcy tej śmiercionośnej broni.. Dlaczego nie wybaczysz również im? —

Nie wiedział.

Rzadko bywał w Liryzji, stracił rachubę ile lat już przebywał za granicami.. Dziesięć lat? A może więcej...

Gorycz po przegranym thingu, ponownym przyłączeniu się do wergundii, trzymała go z dala przez pewien czas. Jakby koncept niezależnej wizji kraju miał ich uchronić przed

ponowną tragedią, że wszystko byłoby lepiej, a Qa nie przetoczyli by się ponownie przez ich granice.

Czuł brak przywiązania, jakby kawałek niego nieodwracalnie zniknął. Nawet nowy dom w postaci Nowej Birki nie pomógł wypełnić tej pustki, mimo, że go tam znali... To czuł się tam obco.. Jakby wylądował na drugim końcu nieznanego mu świata.

Zasłaniał się niezależnością, pogardą do polityków, którzy chcieli tylko więcej i więcej.. A wraz z ich chciwością, potęgowała się krzywda niewinnych ludzi. Wojny, które miały zakończyć cierpienie.. Tylko po to, aby wybuchła kolejna wojna, z tymi samymi ludźmi, z którymi walczyli ramię w ramię, o upragnioną wolność.

A on sprzątał.

Sprzątał skutki, potwory, upiory ludzi, którzy zginęli w tragiczny sposób, ludzi, którzy nie chcieli walczyć, ale zostali zmuszeni.

Nie ważne czy to był Qa, Wergund, hobbit czy Tryntyjczyk - pomagał wszystkim, bez wyjątku.

Zadzierał dumnie głowę, mówiąc "Jestem ponad tym, ponad podziałem, do niczego mnie nie zmusicie", zbywając strony konfliktu, które rok w rok próbowały przeciągnąć go na swoją stronę. Taką wolność wybrała córka Ingwara, choć w innym celu.. Za jej wybór przyszło zapłacić jej straszliwą cenę i to z ręki własnego ojca, który nie mógł znieść myśli, że może związać się z Qasyańczykiem...

Ludzie mówili, że dobro zniknęło ze świata wraz z Hwitem.

Każdy jednak je miał, głęboko w sobie. Trzeba było tylko je znaleźć.

Po długim milczeniu zaśmiał się niezręcznie.

Zaklinał rzeczywistość, wiedząc, że świat nigdy się nie zmieni.

Nie mógł uratować wszystkich, zatrzymać maszyny wzajemnej nienawiści.

Ale mógł próbować.

Ojciec przysiadł ciężko obok syna, wyciągając pakunek, który delikatnie rozwinął

— Kiedy nadejdzie czas, podejmiesz właściwą decyzję. —

Powiedział ukazując herb Rosgalenów, a tuż obok wysłużony srebrny sztylet. Wymienili się spojrzeniami, nie spodziewał się takiego podarku.. Zawsze wisiała u nich dumnie w domu. A sztylet.. Teraz zrozumiał, że czas ojca powoli się kończy i że on właśnie przekazywał mu jedną z najważniejszych wartości.

— Postarajmy nacieszyć się tym dniem. — Dodał i zaczął nucić znaną mu pieśń..

Chleby upieką się w piecach nam.

I spójrz: tam gdzie tylko był dym,

kwiatem zablizni się wojny ślad...

Barwą róż...

II

— Przysięgnij, że się nią zaopiekujesz — Ramosa już się nie ukrywała, kiedy biegli na pomoc jego przyjaciółom. Stała przed nim w całej swojej aguarowanej okazałości, uzbrojona w pazury i gotowa do walki o bezpieczeństwo swojej córki.

— Przysięgam — Odrzekł z pewnością, nie było wiele czasu na zastanowienia, ruszali do boju i to było jedyne zapewnienie jakie mógł jej dać, gdyby stało się najgorsze.

I stało się.

Teraz siedział w punkcie przerzutowym, drewnianej chacie w lesie, informacje zdobyte w Agade utwierdziło go w przekonaniu, że na świecie nastąpi kolejne tąpnięcie. Nie był w stanie przewidzieć, jaki chaos wprowadzi to na kontynent, jednak swoim zwyczajem wolał dmuchać na zimne.

Mała aguara wręcz nie odrywała się od niego, zwyczajnie stęskniona za swoim opiekunem.. Jakby był częścią stada, bardzo niepełnego zresztą.

To było dziwne uczucie.

Westchnął ciężko, jakby nie patrzeć mieli trochę ze sobą wspólnego, razem nie mogli znaleźć miejsca, który by mogli nazwać domem.. Takiego z prawdziwego zdarzenia. Dla niego najbliższym temu określeniu była Akademia, samych łowców zresztą traktował jak jedną wielką rodzinę.. Jednak czegoś mu tam brakowało. Nieporównywalnie gorszą sytuację miała Sadzi, nie miała nikogo poza nim, bez domu, bez rodziny. Tylko on, ostatnia osoba, którą matka wskazała przed swoją śmiercią.

Czasami przerażało go to, jak umie upodobnić się do ludzkiego dziecka za pomocą iluzji. Wtedy wydawało się, jakby wszystko było na właściwym miejscu.. Takie naturalne, odpowiednie.

W jego głowie rozbrzmiało niemal groteskowe zapytanie “Jak mam wychować potwora?” Czy ktokolwiek na świecie kiedykolwiek próbował? Kto by zresztą chciał, większość uważała je za zagrożenie, coś co trzeba było wyeliminować, a ci bardziej szaleni wykorzystywali je jako broń. Uznano je czyste zło, jednak nie wszystkie nim były.. Kavelia to pokazała, Sakkara również, kiedy zdeformowane ulundo dosłownie zaopiekowały się całą grupą ratunkową. Ludzie jednak nigdy tego nie rozumieją, zawsze to oni będą na pierwszym miejscu, nieważne czy budują swoje chaty obok leża czy zabijają młode, “Wszak to nie stado wygłodniałych wilków zabiło nam bydło, a potwór straszliwy!” Rzucając oskarżeniami w stronę starego wulwera, który jedyne czego pragnął to święty spokój.

— Wiemy, że tam jesteś! Wyłaz! — Rozległ się stłumiony krzyk z zewnątrz.

Wiedział, że go śledzili od dłuższego czasu.. Wiedział również, że tym razem nie ograniczą się do zwykłego obserwowania, musieli być pewni siebie skoro zrezygnowali z

elementu zaskoczenia. Jednak jego ludzie również czekali w pogotowiu. Czekali bo chciał załatwić to sam.

— Zaraz wracam — Powiedział i uśmiechnął się, jak to miał w zwyczaju, kiedy wyprawiał się w nieznane. Odczepił się delikatnie od małych łapek, poniosł z cichym łoskotem miecz.. Przejeżdżając powoli opuszkami palców po runicznej klindze, nie zastanawiał się długo. Wyszedł i trzasnął drzwiami.

Okrutny świst przeszył powietrze, a grot głucho zachrobotał o kamienną skórę.
To oznaczało koniec negocjacji.



Pięć ciał, czterech adeptów i jeden mistrz. Zostali przykryci płachtami, umieszczeni na metalowych łózkach typowych dla sekcji zwłok, czekając na pochówek albo transport do rodzin zabitych. Taki właśnie widok zastali po powrocie z wyspy Tyndur. Ich ciała zostały zmasakrowane, zarówno bronią ciętą jak i obuchową.. Sam obawiał się czy rodziny w ogóle je rozpoznają. Przyzwyczaili się do wieści o zmarłych łowcach, ich zawód niósł ze sobą śmiertelne ryzyko, jedynie eliksiry, wyszkolenie i odpowiednie narzędzia pozwalały im stawać z potworem na równych warunkach..

Jednak śmierć młodzików, zawsze była olbrzymią tragedią, to właśnie oni byli świeżą energią, pełną zapału, wypełniającą sale wykładowe.

— Nie zabił ich potwór — Odezwał się Dalimir, stojący obok niego.

— Nie zabił. — Zgodził się z nim.

Ten przypadek był szczególny, co innego zginąć wypełniając misję przyświecającą ich profesji. A co innego w wyniku działań wojennych, wymierzonych w Teralę, gdzie znajduje się ich siedziba. Niewątpliwie w sztabie wergundzikiem odtrąbili sukces za skuteczność manewru.

— Bronili wioski.. Zatrzymali atak orków na tyle ile mogli, dając mieszkańcom czas.. A pomoc nadeszła zdecydowanie za późno. — Kontynuował dalej Teral.

Dostał dostęp do raportu, zlecono mu zresztą napisanie listów kondolecyjnych. Kiedy nastąpił atak, wszyscy adepci byli na szkoleniu pod opieką Mścibora, który widząc co się dzieje, zlecił młodzikom zażycie eliksirów oraz zezwolił na używanie znaków. Szarża rozbiła się o Askelde, a niedoświadczenie nadrobili ognikiem, preparatem nienaturalnie zwiększającym im refleks oraz szybkość. Ten sam atut, który dał im przewagę, również doprowadził do tego, że nie mogli się wycofać. Przemęczone mięśnie, wycięzione do granic możliwości, przypiętowały ich los. Łamanie wszelkich zasad, przekroczenie uprawnień. Nie osądzał Mistrza, sam pewnie by tak zrobił. Jednak nigdy nie powinien narażać życia adeptów. Tylko swoje własne.

— Wergundia za to odpowie. — Dodał Dalimir

Nie planował hamować jego gniewu, był słuszny i uzasadniony. Jednak nie zamierzał sprowadzać zagrożenia na Akademię.. Ich cel był jasny - chronić ludzi przed potworami, nie mogli pozwolić sobie, aby zaślepiła ich zemsta. Kształtowany przez niego wizerunek tym bardziej nie pomagał w podobnych działaniach. Nie powinni jednak tego akceptować i stać bezczynnie.

— Niestety.. Nie mogę nic z tym zrobić, nie teraz. — Odparł.

Wtedy jego plany szlag by trafił, ludzie za nim podążali, owszem. Jednak musieli zbudować fundament, wzmocnić się i utwierdzić. Teraz pakowanie się w konflikt z takim kolosem, nie przyniosłoby im żadnej korzyści w dłuższej perspektywie czasu... Zwłaszcza, że mają swój wewnętrzny strukturę. Psiamać, zaczyna myśleć jak polityk.

— Przecież masz poparcie w Akademii! Środki, kontakty... Mógłbyś ich ukarać. — Dalimir podniósł głos, który poniósł się cichym echem po korytarzu.

— Ale Ty możesz. — Przerwał mu.

— Co? Ja? — Spodziewał się zdziwienia.

— Tak... Załatwię ci zwolnienie z części obowiązków na Akademii. Wykorzystaj ten czas dobrze, wejdź w otoczenie kniazia albo innego witezia.. Zaciągnij się, zdobądź przyjaciół. Tak jedynie będziesz mógł coś osiągnąć, a przy okazji chronić swoją Teralę. — Skończył dodając w myślach "A bezpieczna Terala to i bezpieczna Akademia." Obok konsternacji i niedowierzania swojego towarzysza, widział w nim zapał i determinację..

Jakby właśnie jakaś niewidoczna furtka właśnie przed nim się otworzyła.

IV

Szum teralskich kniei był na swój sposób kojący, obcy i dziki. Daleki od problemów wielkiego świata, od wojen i tragedii. Lubił się tutaj zapuszczać, kiedy musiał odpocząć od spraw bieżących. Nie było tu wrogów, którzy czekali na jego potknięcie czy stronników szepczących do ucha. Mógł odpocząć od ciężaru stanowiska Wielkiego Mistrza łowczego, reformy oraz sławy.. Czuł się tutaj, jakby nadal był samoukiem, kiedy to jeszcze podróżował z wioski do wioski z srebrnym sztyletem, a największym zmartwieniem były rozmoknięte buty oraz pogoda. Lubił wracać do tamtych czasów, początków.

Tym razem przychodził również po coś więcej - po radę, której nie mógł dać nikt inny.

Kapliczka Herna była skryta głęboko w czeluściach lasu, tam, gdzie żadna droga nie prowadziła oraz tam, gdzie nikt nie chciał się zapuszczać. Oprócz paladynów Wielkiego Myśliwego. Strażniczką świętego miejsca była driada, życząca sobie zwyczajowego rytualnego polowania przed wstąpieniem na ziemię pod jej protekcją.

Doskonale pamiętał pierwsze spotkanie i ten oceniający, surowy wzrok.

"Ten magiczny kij ciebie nie uratuje, prawdziwy łowca musi liczyć tylko na własne umiejętności"

I podarowała mu najzwyczajszą włócznię.

Oczywiście przyjął wyzwanie, cały dzień spędzając w lesie, wyczekując na odpowiedni moment. Uczył się cierpliwości, pokory i nienawiści do wszelkiej maści krwiopicców. Czasami pojawiali się paladyni, którzy przeszkadzali mu w zadaniu, myląc tropy, robiąc podchody. Próbuąc wystraszyć, generalnie utrudniając życie. Mógł się spodziewać, że samo upolowanie zwierzyny byłoby zbyt "łatwe". Niemniej prędzej czy później się to udawało, wymknięcie się z podstępów innych łowców sprawiało mu ogromną satysfakcję.

Tym razem jednak nikogo nie było, ani surowo oceniającej go driady, ani żadnego z myśliwych. Złożył zwyczajową ofiarę oraz zdał sprzęt w tym samym miejscu, co zawsze.

Spodziewał się jakiejś kolejnej próby, był podejrzliwy co do ich nagłego zniknięcia.. Jednak też nie znał wszystkich ich rytuałów oraz obyczajów, jakie musieli praktykować, a to mogło wiązać się z ich nieobecnością.

Wkrótce ukazała się kaplica, wyryta w olbrzymim dębie i ozdobiona malowidłami. Ostatnie lata przybliżyły go do Pana Kniei. Było wiele różnych okazji, które to poczyniły. Jednak punktem przełomowym był ich osobiste spotkanie. Zanim jednak do niego doszło, musiał przejść przez piekło.

Nie lubił wracać do tego momentu.

Zostali zepchnięci do kazamaty, tam gdzie odbywał się rytuał ostatecznego zniszczenia tablicy. Po drodze zginął Dalimir i Corvis, którzy mu towarzyszyli - wszyscy od tego samego przeklętego Wampira Wyższego, nigdy bardziej nie pałał żądzą zemsty jak w tamtym momencie. Jak jednak pokonać coś, co jest niemal nieśmiertelne? I jednocześnie tak szybkie, że ledwo nadążasz z unikaniem oraz wyprowadzaniem ciosów nawet po eliksirach. Nie mówiąc o tym, że po każdym zablokowanym ciosie czuło się, jakby w barku miało mu coś trzasnąć. Mimo wszelkich starań i chęci, przegrał i nie zdołał ochronić reszty.

Ostatnie co pamiętał, to jak trup Mieczysława przycisnął mu nogi. A on starał się ostatnimi siłami odgonić mieczem inne potwory od jego ciała .

A potem był wybuch.. I cisza.

Tam też się spotkali, gdzie śmiertelnik zazwyczaj jest jeden raz w życiu. Tam również został zauważony i doceniony, tam poparto jego wskrzeszenie.

Gdy stanął przed kapliczką, odmówił zwyczajową modlitwę.. I zadał konkretne pytanie.

Nie było już nic, czego mógłby się nauczyć od pozostałych Wielkich Mistrzów w Akademii, teraz on został jednym z nich.. Zaczynał jako samouk z srebrnym sztyletem, przez lata dążył do perfekcji w swoim rzemiośle, uczył się, usprawniał swój sprzęt, chwycił się wszystkiego aby móc mieć możliwość jak najlepszego wykonywania swojego zadania. Ostatnio jednak czuł, jakby dobił do jakiegoś sufitu, którego nie mógł przebić.

Zawiódł na Fiordzie, kiedy Wampir Wyższy zabijał jego przyjaciół.. Nadal gdzieś jest również ten przeklęty lisz, Mortimer. Jak miał zapolować na takie coś, jak mógł zapewnić bezpieczeństwo tym, których przysięgał chronić?

Co jeszcze mógł zrobić?

Etariel nie była zadowolona z przebiegu rytuału, wyszła zła albo rozczarowana. Ciężko było ocenić czy na niego, czy na samą siebie, jako że była dość krytyczna wobec własnych prac czy przedsięwzięć.

Nie pozostało mu nic innego jak udać się do swojej komnaty, przejrzeć raporty, napisać rozkazy. Odpisać na listy i jeszcze większą ilość pism. Musiał umówić miejsce na spotkanie z SSW, które go wyręczyło w szukaniu jego pierwszego wroga - Ethana Ferbera.

Aż go mierziło, że po tylu latach spotka się z tym gnojem..

Przysiadł ociężale na twardym krześle. Porozwalane papiery czy inne piśmiennicze szpargały leżały bezwładnie na biurku, aż zastanawiał się przez chwilę, dlaczego zostawił tu taki burdel. Leżący na brzegu list szybko przypomniał, dlaczego odpuścił sobie pracę na jeden wieczór. Po wyprawie musiał się upewnić w jednej kwestii. Mógł oczywiście do niej zaangażować cały sztab ludzi, sięgnąć po kontakty. Ale napisał bezpośrednio do samego źródła problemu. I uzyskał odpowiedź, całkiem szczerą jak na nowego agenta tajnej jednostki.

Pamiętał Kuzana, jako niewinnego dzieciaka, który pragnął zostać bohaterem jak jego ojciec, dzierżąc magiczny miecz, który ponoć ten miał. Dzieciaka pełnego naiwności, ale również zapału i wiary w dobro na świecie. Wiedział, że prędzej czy później dopnie swego zostając paladynem czy kimś innym w lśniącej zbroi. Nie stało się jednak tak.

- Po to walczyłaś? -

Mruknął sam do siebie, bo nie mógł i tak osiągnąć adresata, któremu chętnie posłałby te słowa. Pewnie znowu wykonywała kolejną tajną misję, likwidując ku chwale Styrii. Dlaczego na to pozwoliła? Powstanie Czarnej Tercji to była okrutna konieczność, obarczona ofiarami i cierpieniem. Wierzył, że walczyli po to, aby już takiej potrzeby nie było. Słyszał plotki, że nie powstanie ich więcej. Nawet nie chciał myśleć, czy Kuzan ma świadomość, w jaką służbę się wpakował, jak wiele będzie musiał jej poświęcić... I jak wiele bólu będzie musiał przetrwać. Wiedział jednak, kto miał taką świadomość i nie był to kto inny jak Imira Ektellen.. Mogła to przerwać, zapobiec. Nie zrobiła tego, bo przyszedł rozkaz? Bo trzeba było go wykonać? Bo przecież świeża krew musi ich zastąpić?

Ostatnio ciągle zadawał sobie to pytanie - Dlaczego?

Konieczność, bo zagrażały im byty z pustki? Atut militarny, który stanowił o bezpieczeństwie Styrii? Osobista kwestia? Jak silny musiał to być powód, aby pchać dzieciaka w to samo bagno, przez które ona przeszła.

— Niektórych rozkazów nie powinno się wykonywać — Wycedził.

Jednak jak zrozumieć kogoś, kto został stworzony przez wojnę? Ktoś, kto był żywą bronią stworzoną do jednego konkretnego celu? Szanował i rozumiał poświęcenie.. Ale..

Ale co?

Pokręcił głową. Miał tego wszystkiego serdecznie dość, tego ciągłego zastanawiania się. ukradkiem spojrzął na wiszący na ścianie miecz.

- "To niczego nie rozwiąże." - Pomyślał. Kuzan potrzebował teraz dobrego przewodnika, a on nie znał lepszego. Jednak jeśli ją spotka, to nie miał zamiaru kryć swojej złości. Nie omieszka zadać pytania.

Dlaczego?